

Bez cudów nad Wisłą

13 września 2009

Kolor, który przychodzi mi na myśl, gdy wspominam ostatnie dwadzieścia lat, to szary. A Polska, gdy próbuję ją jakoś określić, jest nijaka.

Gdy siadano do „okrągłego stołu” i przeprowadzano wybory z udziałem opozycji antykomunistycznej, byłem zaledwie 13-latką. (...) To za mało, aby u progu „transformacji ustrojowej” interesować się czymś więcej niż futbol i dziewczyny, za mało na oczekiwania, wizje i plany na przyszłość. Nie mam więc żalu, że „nie tak miało być”, że „nie o taką Polskę walczyliśmy”. Żeby dostrzegać głównie szarość i nijakość, wystarczy mi to, co kilka lat po 1989 r. zacząłem świadomie przeżywać jako osoba dorosła. Nie było tu żadnych fajerwerków, żadnych cudów. A niewątpliwe plusy były nazbyt skromne, aby przesłonić minusy.

Za PRL-em nigdy nie tęskniłem, choć z perspektywy pamięci dzieciństwa okres schyłkowej komuny mógł się jawić jako raj utracony. Nie było w nim oddziałów ZOMO i ludzi katowanych na komendach, nie było absurdów gospodarki i polityki. Były natomiast niemal sielankowe realia, w których niemal wszyscy mieli pracę, na ogół niezbyt stresującą i w pobliżu domu, wszyscy żyli raczej skromnie, lecz niebiednie, a przede wszystkim znacznie więcej niż dziś było życzliwości i niespiesznego bytowania. Ale odkąd przestałem być dzieckiem, mam świadomość, że nie ma chleba bez wolności (bezwartościowy jest ustrój, który zapewnia „pełną miche”, ale za cenę braku swobód obywatelskich), a i z samym chlebem było za komuny gorzej niż choćby w takim kraju zacofanego kapitalizmu, jak Grecja.

Sęk w tym, że III RP nie dała swoim obywatelom wystarczająco dużo ani chleba, ani wolności. Daleki jestem od wiary w nie tyle populistyczne, co po prostu kretyńskie slogany, jakoby

niemal cała Polska nie dojadła i musiała oszczędzać na proszku do prania. Trudno jednak uznać, że dzisiejsza rzeczywistość ma cokolwiek wspólnego z egalitaryzmem i „równaniem w górę”, jakie znamy choćby z Niemiec czy krajów skandynawskich. Nie chodzi o tamtejszy poziom dobrobytu, siłą rzeczy nieosiągalny po niemal półwieczu PRL-owskiej „zamrażarki”, lecz o tamtejsze mechanizmy, idee i wolę polityczną, które tym bardziej powinny mieć zastosowanie w kraju uboższym i w wielu dziedzinach niedorozwiniętym.

A wolność? Jest wolność słowa, tyle że w przypadku poglądów „źle widzianych” ograniczona do niszowych gazetek i internetowego śmietnika. Jest wolność zrzeszania się i swoboda wyboru pracy – ale nie w miastach i gminach dwudziestoprocentowego bezrobocia i nie dla ludzi, którzy chcą w tamtejszych firmach zakładać związki zawodowe. Jest wolność podróżowania, ale dla zbyt wielu Polaków sprowadza się ona do zagranicznej poniewierki za pracę jakąkolwiek i rzadko kiedy zgodną z kwalifikacjami. Nawet gdyby uznać, że przesłanie „Solidarności” z lat 1980-81 było już u korzeni utopijne, to realia lat 1989-2009 odległe są od tamtych ideałów nie o centymetr, lecz o lata świetlne.

Jednym najbardziej doskwierają wciąż duże obszary biedy w Polsce. Innym – narastające chamstwo i brutalność w relacjach międzyludzkich. Jeszcze komuś – szmira i tandeta kultury popularnej. Mnie natomiast szczególnie boli brak w głównym nurcie debaty publicznej rzetelnego zmierzenia się z tymi wszystkimi bolączkami. Bo wielkie media albo klepią mantrę o tym, jak znakomicie jest w Polsce, albo – gdy łaskawie dostrzegą patologie lub, dla odmiany, wartościowe postawy społeczne – czynią to w sposób przeraźliwie sztafpowy. Opis rzeczywistości, który wyłania się z dużych gazet, stacji radiowych i telewizyjnych, to zazwyczaj echo zadowolenia sytej „warszawki” z własnej pozycji oraz autentycznego przekonania, że cały kraj żyje w podobnych warunkach. Gdy czasami ktoś z tego towarzystwa łaskawie opisze „Polskę B”, to

sentymtalnie, schematycznie, powierzchownie i koniecznie tak, aby analiza jednostkowego przypadku nie posłużyła do wniosków systemowych. Współczesnych „strasznych mieszczan” zatrudnionych w telewizji lub „tygodniku opinii” zaciekawiają i wzruszają realia śląskich familoków, bieszczadzkich wsi czy popegeerowskich wiosek – tyle tylko, że tak, jak wzrusza ich ckliwa telenowela i tak, jak zaciekawiają egzotyczne zwierzęta w ZOO.

Zaledwie 6 lat po odzyskaniu niepodległości Stefan Żeromski, pisarz powszechnie znany i szanowany, opublikował „Przedwiośnie”. Książka ta była, co jako pierwszy dostrzegł komunista Julian Brun, „wołaniem o trzeci cud”. Po odrodzeniu Polski i odparciu najazdu bolszewickiego, Żeromski marzył o jeszcze jednym cudzie, o dokonaniu ogromnego dzieła przebudowy kraju w duchu sprawiedliwości społecznej. Po roku 1989 nie mieliśmy natomiast żadnego cudu, nawet jednego. (...)

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [„Obywatel”, nr 1/2009](#)